

MARIA GĄSIENICA-ZAWADZKA

ZGORZEL ISKRO

Kiedy tajemnice z przeszłości wyjdą na jaw,
komu przyjdzie zapłacić za winy rodziców?



Maria Gąsienica-Zawadzka
Zgorzelisko

Dla Dawida. Kocham Cię

2-22 GRUDNIA 2022

2 grudnia 2022 r., piątek

Mężczyzna spojrzał na zegarek. Dochodziła dwunasta. Wytężył słuch i wzrok, jego zmysły nie wyłowiły jednak z otoczenia żadnego ruchu ani dźwięku. W każdym razie nie takiego, na jaki czekał. Las rozbrzmiewał podmuchami wiatru, szelestem liści zalegających grubą warstwą na ziemi i charakterystycznym stukaniem dzięcioła, kojarzącym się mężczyźnie z turkotem karabinu maszynowego. Zamknął oczy i ujrzał pod powiekami żołnierzy, towarzyszy broni, kolegów, którzy nie mieli tyle szczęścia co on i nie wrócili żywi z misji w Afganistanie.

Potrząsnął głową i otworzył oczy, nie chciał tych wspomnień. Zostawił to już za sobą. Wyjął z plecaka lornetkę i znów skupił się na obserwacji. Kwadrans po dwunastej wreszcie dostrzegł wchodzącego na polanę mężczyznę.

Tamten ewidentnie był zmęczony. Wyglądał, jakby przed chwilą biegł. Rozpiął kurtkę i się rozejrzał. Na skraju lasu zauważył zwalone drzewo. Podszedł do niego i usiadł na konarze. Zdjął plecak, wyjął z niego butelkę wody i zaczął łapczywie pić.

Kiedy zaspokoił pragnienie, wstał i obszedł polanę, rozglądając się uważnie, po czym chwycił plecak i przeniósł go w miejsce, gdzie w dość bliskiej odległości od siebie rosły dwa drzewa. Wyjął z plecaka nóż i wszedł w las. Po chwili się pojawił, niosąc w rękach grube gałęzie. Jedną ułożył poprzecznie między dwoma drzewami, a z pozostałych zaczął budować coś na kształt jednospadowego dachu, układając konary pionowo obok siebie. Był to rodzaj prostego szalasu, który miał chronić plecy i głowę, otwartego z przodu, tak aby dało się przed nim rozpalic ognisko. Widać było, że mężczyzna nie ma wprawy, konstrukcja co chwila się rozpadała. W pewnym momencie klepnął się otwartą dłonią w czoło, jakby o czymś sobie przypomniał. Znów wszedł do lasu i dość długo go nie było. Kiedy wrócił, niósł długie, cienkie korzenie. Użył ich jako sznurków, którymi wzmocnił konstrukcję. Teraz wyglądał na zadowolonego. Spojrzał na zegarek. To samo zrobił mężczyzna obserwujący go przez lornetkę. Czternasta. Późno. Obaj wiedzieli, że za dwie godziny las spowije ciemność.

Od tej chwili w ruchach mężczyzny widać było nerwowość. Poruszał się szybciej. Za szybko. Raz po raz wbiegał do lasu i przynosił z niego gałęzie i gałązki. Przyciągnął również kilka grubszych konarów. Był zgrzany, zdjął kurtkę. Napił się wody i wrócił do budowania schronienia. Skośną ścianę z gałęzi zacząć pokrywać sporą warstwą liści. Zgarniał je butem na małe kupki, a potem przenosił i dosypywał tak, aby warstwa izolacji była jak najgrubsza. Następnie zajął się „podłogą”: ułożył na ziemi suche gałęzie i też przysypał je liśćmi. Widać było, że działa zgodnie z planem, lecz idzie mu zbyt wolno. Znów ruszył w las. I znów długo go nie było. Kiedy wrócił, niósł pod pachą drobne gałązki świerkowe i trochę brunatnych liści paproci.

Sporządził z nich legowisko, wypróbował je i najwyraźniej uznał, że jest wygodne.

Tymczasem na polanie zrobiło się znacznie ciemniej, zaczął zapadać zmrok. Mężczyzna sprawdził, która godzina, i włożył kurtkę. Zapiął ją pod szyją, raz po raz chuchał w dłonie i je zacierał. Temperatura spadała.

Odczuł to także mężczyzna ukryty w lesie. Choć miał na sobie spodnie softshellowe, ocieplaną bluzę oraz podszytą polarem kurtkę wojskową Pentagon Artaxes, jemu też dał się już we znaki późnojesienny chłód. Postanowił się przejść i wrócić za jakiś czas. Wiedział, że tamten go nie zobaczy, najwyżej usłyszy trzask łamanej pod butem gałązki, ale nie powinien domyślić się jego obecności. Ruszył w stronę rzeki, gdzie uzupełnił wodę w butelce. Wrócił na miejsce obserwacji, gdy było ciemno. Zdziwił się, gdy nie zobaczył ognia. Stąpając ostrożnie, podszedł bliżej obozowiska. Mężczyzna klęczał nad stosikiem gałązek i bezskutecznie próbował użyć krzesiwa, by rozpałić ogień.

– Nie wierzę, nie wierzę – mamrotał pod nosem, a w jego głosie pobrzmiwała nuta rozpacz.

Obserwator sprawdził godzinę. Zbliżała się siedemnasta. Czy to już czas? Czy powinien zrobić to teraz? Nie, postanowił, że odczeka jeszcze pół godziny.

Klęczący mężczyzna zaszlochał i uderzył pięścią w ziemię.

– Nie dam rady, nie dam rady! – powtarzał.

Po chwili zrezygnował z dalszych prób, usiadł na przygotowanym wcześniej legowisku i się rozplakał. Beczał jak dziecko. Kiedy wyrzucił z siebie sporą porcję frustracji, wyjął z plecaka telefon i próbował z kimś się połączyć, w tym miejscu w lesie nie było jednak zasięgu. Obserwator ukryty w krzakach o tym wiedział. Widząc, że próby wezwania pomocy kończą się niepowodzeniem, mężczyzna raz jeszcze ukląkł na ziemi i sięgnął po krzesiwo. Telefonu używał

teraz jako latarki. Gdy wreszcie zobaczył iskry spadające na korę brzozy, wykrzyknął:

– Tak, tak, tak! – By po chwili znów popaść w rezygnację: – Nie, nie, nie!

Ogień nie zapłonął. Jak dotąd ciemność wygrywała pojedynek ze światłem. Mężczyzna ukryty w krzakach w pobliżu obozowiska wreszcie podjął decyzję. Teraz. Zrobi to teraz i skróci męki nieudacznika na polanie. Nie ma sensu przedłużać tego przedstawienia. Trzeba je zakończyć. Ruszył. Nie musiał już zachowywać ostrożności. Trzask gałązek poniósł się echem i dotarł do uszu nieszczęśnika pochylonego nad stosem gałązek i kory.

– Kto tam? Kto tam?! – wrzasnął tamten, jednocześnie kierując światło latarki w stronę, z której dobiegł hałas. A potem wpadł w panikę, zaczął krzyczeć i rzucił się do najbliższego drzewa, desperacko usiłując się na nie wdrapać.

– Spokojnie, panie Mariuszu! – krzyknął obserwator, podchodząc bliżej i włączając latarkę. – To ja, Radek. Radek Malicki. Niech pan się uspokoi.

Mężczyzna puścił gałąź, której się trzymał, próbując wejść na drzewo.

– Pan Radek? Pan... co pan tutaj...? Jak pan...? Ale o co...? – dukał, najwyraźniej nie mogąc zebrać myśli.

– Bałem się o pana. Martwiłem się, że może pan sobie nie poradzi. Przyszedłem sprawdzić, czy wszystko w porządku. Nie chciałem pana wystraszyć. Niech pan usiądzie, zaraz rozpalimy ogień. Zagrzeje się pan, a potem zdecyduje, czy chce wracać, czy jednak spędzić noc w lesie.

– Pan, pan długo... długo mnie pan tak obserwował? – zapytał Mariusz.

– Gdzie tam – skłamał Radek. – Właśnie przyszedłem, a gdy tylko się zorientowałem, że nigdzie nie widać

ogniska, zacząłem pana szukać. Niech pan już siada. Zaraz zagotujemy wodę, napije się pan czegoś ciepłego. No, niech pan siada. – Radek ukląkł i w okamgnieniu z dużą wprawą rozpalił ogień. Już po kilku chwilach płomienie tańczyły w ciemnościach. W oczach Mariusza dostrzegł podejrzliwość. – To co, kawa czy herbata? – spytał, stawiając na ogniu menażkę z wodą.

– Herbata.

– I dobrze, ja też napiję się herbaty. Niech pan się grzeje, a ja szybko zbuduję ekran za ogniskiem, żeby dawało nam więcej ciepła. Tyle pan tych gałęzi i konarów tu natargał, widzę, że spokojnie wystarczy.

Mariusz najwyraźniej nadal był w szoku, lecz Radek widział, że tamten patrzy na niego nieufnie. Nie mylił się, już po chwili padło pytanie.

– Jak pan tu przyszedł po ciemku? Jak pan mnie znalazł? Jak długo pan mnie obserwował?

Radek był na to przygotowany.

– Jak to jak? Przecież sam wyznaczyłem panu na mapie to miejsce. Jest bardzo charakterystyczne, byłem przekonany, że odnajdzie je pan bez problemu. Ja znam ten las na wylot, wie pan, ile wypraw tu poprowadziłem? Mógłbym pewnie wrócić teraz na parking z zamkniętymi oczami. No dobra, trochę przesadzam. – Roześmiał się i dodał: – I nie obserwowałem pana. Gdy tylko przyszedłem, zrozumiałem, że coś poszło nie tak. Chciałem tylko pomóc.

Mariusz wysłuchał tych tłumaczeń, westchnął i powiedział:

– Wszystko szło dobrze, robiłem wszystko zgodnie z pana instrukcjami. Znalazłem miejsce na obóz, zbudowałem schronienie, nazbierałem drewna na opał. Tylko ten ogień... Nie wiem, dlaczego nie udało mi się go rozpaścić. I byłem za wolny. Tak, za wolno robiłem legowisko, potem

biegałem po lesie i zbierałem gałęzie. Spocilem się i zdjąłem kurtkę, a pan mi przecież mówił, żeby poruszać się spokojnie, nie tracić energii i dbać o to, żeby się nie spocić.

– Dobrze pan sobie poradził, schronienie pierwsza klasa. – Radek próbował uśpić czujność Mariusza pochlebstwami. – Sam bym lepszego nie zrobił. Zebrał pan też spory zapas drewna, i to dobrego, suchego. Spokojnie mógłby pan palić ognisko do rana. Pewnie i ogień by pan w końcu wykrzesał. Tak, jestem pewien, że pan by sobie poradził. Pana pierwsza wyprawa bushcraftingowa poszła całkiem nieźle.

Woda wreszcie się zagotowała. Radek zalał w dwóch kubkach torebki herbaty i podał jeden z nich zmarznętemu Mariuszowi.

Pili w milczeniu. Radek liczył na to, że udało mu się przekonać mężczyznę, że ma dobre intencje. Bo naprawdę takie miał. No, może tylko za długo czekał w tych krzakach. Trzeba było ujawnić się wcześniej, ale ten cholerny dziennikarz wydawał się tak pewny siebie, kiedy przyszedł do niego do biura i powiedział, że chce napisać artykuł o bushcraftingu. Uwagi i aluzje, jakie czynił, świadczyły o tym, że traktuje taką aktywność jak kaprys, zabawę dla dużych chłopców, którzy znudzeni życiem idą do lasu bawić się w harcerzy. A przecież survival i bushcrafting to przede wszystkim cenne umiejętności. Pozwalają przetrwać w każdych warunkach. Czy ten kretyń naprawdę nie rozumiał, że ta wiedza może nawet uratować życie? Po idiotycznej wymianie zdań Radek w końcu zaproponował Mariuszowi spędzenie nocy w lesie. Najpierw go do tego lasu zabrał i pokazał mu, jak zbudować proste schronienie, jakie drewno zebrać na opał i jak rozpalić ogień przy użyciu krzesiwa. Dokładnie takie wyprawy organizował w ramach swojej firmy. Klienci uczyli się,

jak przetrwać noc w lesie, mając przy sobie jedynie nóż i krzesiwo. Dziennikarz się zgodził, wciąż chyba uważając, że to pestka.

– To co? Chce pan spędzić tę noc w lesie? Ogień się pali, raz-dwa wysuszy pan ubranie, zostawię panu wodę i menażkę, żeby mógł pan zrobić sobie herbatę.

Mariusz spojrzał na niego i odparł:

– Nie. Wiem już wystarczająco dużo, żeby napisać artykuł. Sprzątnijmy ten bałagan i wracajmy na parking. Skoro pan tak doskonale zna ten las, to bez problemu mnie pan tam zaprowadzi.

– Jak pan sobie życzy. – Radek wstał i zabrał się do likwidowania obozowiska. Czuł na sobie podejrzliwy wzrok Mariusza i przewidywał kłopoty. Cholera, trzeba było się ujawnić, zanim tamten zaczął beczeć, pomyślał, kiedy zalewał ognisko wodą z butelki.

Mariusz nie odezwał się ani słowem aż do chwili, gdy dwie godziny później dotarli na parking.

– Do widzenia – rzucił, otwierając drzwi zielonego forda focusa.

– Do widzenia – odparł Radek, mając nadzieję, że już nigdy więcej się nie spotkają.

5 grudnia 2022 r., poniedziałek

W poniedziałek rano Radek wszedł do biura i zdziwił się, że jego wspólnik już tam jest. Zazwyczaj to Radek otwierał rano biuro, włączał komputery i parzył kawę. Tego dnia było inaczej. Tomek siedział przy biurku i na zmianę brał do prawej ręki kubek z kawą lub chwytął smartfon i przesuwiał kciukiem po ekranie, najpewniej sprawdzając najnowsze doniesienia ze świata polityki,

którą zawsze się interesował. W lewej ręce nic nie trzymał, ponieważ jej nie miał. Stracił ją na misji w Afganistanie, gdzie razem służyli.

– Cześć – rzucił Radek.

– Cześć.

– Co ty tak wcześniej dzisiaj? Stało się coś?

– Pokłóciłem się wieczorem z Majką. Spałem na kanapie, a wiesz, jaka ta nasza kanapa niewygodna. Obudziłem się wcześniej rano cały połamany. Wołałem wstać i przyjść do pracy, niż leżeć tam choćby minutę dłużej.

Radek spojrzał z troską na przyjaciela. Znali się od lat, a od sześciu prowadzili razem interes.

– Coś poważnego? O co poszło?

– Nie, nic takiego, takie tam fochy mojej żony. Wiesz, kobiety czasem dowalają się o nic.

Radek kiwnął głową. Wiedział, że gdyby kumpel chciał powiedzieć coś więcej, toby to zrobił. Nie było sensu drażnić tematu. Spojrzał na stojące pod ścianą kartony. Pamiętał, że gdy w czwartek wychodził z biura, jeszcze ich nie było.

– A to co?

– Jak to co? To ostatnie zamówienie, które złożyliśmy. Trochę ubrań i gadżetów. Przyszło w piątek zaraz po tym, gdy się zmyłeś. Zapomniałeś, że dokupiliśmy parę rzeczy?

– Widać zapomniałem – odburknął Radek i krzywiąc się na widok stosu niedbale ustawionych pudeł, pochylił się nad stojącym najbliżej. Zerwał taśmę, zajrzał do środka i wyjął plecak turystyczno-taktyczny w kolorze brązowym. – Fajny, będzie się dobrze sprzedawał.

Radek i Tomek od sześciu lat prowadzili firmę zajmującą się szkoleniami survivalowymi oraz bushcraftingowymi. Ponieważ klientów mieli mniej, niż się spodziewali, założyli także sklep internetowy, w którym można było

kupić niemal wszystko, co przydaje się podczas biwaku w lesie, a więc hamaki, tarpy, śpiwory, plecaki, ubrania, noże, siekiery, latarki, termosy i wiele innych gadżetów.

Kucnął przy kolejnym pudle i długo w nim grzebał. Po chwili wyjął niewielki przedmiot. Podeszedł do Tomka i pokazując mu go na otwartej dłoni, powiedział:

– Patrz, jakie świetne krzesiwo. Wezmę jedno i dam jutro chrześniakowi w prezencie na mikołajki. Ucieszy się.

Tomek rzucił okiem i kiwnął głową, nie dzieląc entuzjazmu kolegi, po czym znów utkwil wzrok w ekranie smartfona.

Radek usiadł przy biurku i przyjrzał się dokładnie gadżetowi. Składał się z dwóch części: pręta z ergonomicznym uchwytem oraz iskrownika z grubej blachy z ostrymi krawędziami. Oba elementy były zawieszone na krótkim sznureczku. Dla osoby nieobeznanej z tematem survivalu wyglądały jak dwa nietypowe klucze. Radek wepchnął krzesiwo do zamykanej na zatrzask kieszonki w spodniach umiejscowionej wewnątrz głównej kieszeni. Znał siebie i wiedział, że jeśli włoży ten drobiazg do plecaka lub gdziekolwiek indziej, nie znajdzie go przez następne pół roku. Potem zajął się porządkowaniem pudeł. Segregował je pod względem wielkości oraz zawartości, a następnie układał metodycznie i równiutko jak od linijki pod ścianą. Z zamyślenia wyrwał go głos Tomka.

– Jest! Radek! Mamy to!

– Co?

– Przyszła odpowiedź od tej firmy, w której złożyliśmy ofertę. Wygraliśmy! Rozumiesz? Nasze kłopoty finansowe wreszcie się skończą. Mamy to! Mamy kontrakt na serię szkoleń dla korposzczurów.

– Zajebicie, pokaż. – Radek podeszedł do biurka kolegi i spojrzal na ekran laptopa.

Przybili sobie piątkę i atmosfera z ciężkiej i gęstej w kilka sekund zrobiła się lekka i radosna.

– To jest to, od teraz będzie już tylko lepiej. Zapłacimy wszystkie faktury i odbijemy się od dna. Zasłużyliśmy po czterech chudych latach, zasłużyliśmy! Zabiorę Majkę na wczasy do Grecji! – ekscytował się Tomek.

– Tak, to chyba najlepszy prezent pod choinkę, jaki mogliśmy dostać. – Radek rozejrzał się po pokoju. Ten kontrakt to była ich szansa, wreszcie byłoby ich stać na porządne regały, na których układaliby towar, mogliby zrobić fajne zdjęcia i poprawić stronę internetową. Może nawet wziąć na raty lepszy samochód. Ten, którym jeździli na wyprawy, psuł się zdecydowanie za często. To była najlepsza wiadomość od wielu dni.

– Ej, a jak ci poszło z tym dziennikarzem? Nic nie mówił – zmienił temat Tomek. – Opowiadaj. Kurde, jak napisze o nas zajebisty artykuł, to nasze akcje jeszcze pójdą w górę. Spójrz, jak wszystko zaczyna się układać.

Radek się odwrócił, żeby kumpel nie zobaczył grymasu na jego twarzy. Podszedł do ekspresu i zajął się parzeniem kawy.

– Nie ma co opowiadać i nie robiłbym sobie wielkich nadziei. Nie wiem, czy on w ogóle coś napisze. To chyba nie jego bajka – odparł, licząc, że to zamknie temat.

– Co ty mówisz? Przecież był nakręcony. Gdy tu przyszedł, sprawiał wrażenie, jakby chciał przeżyć przygodę życia.

– Chyba przesadzasz.

Z kłopotu wybawił Radka dzwonek telefonu. Podszedł do biurka i spojrzał na wyświetlacz. Siostra. Zastanawiał się, czy odebrać. Nie rozmawiali od dawna, ich więź osłabła lata temu, a kontakty były sporadyczne i ograniczały się głównie do urodzin jej syna, którego Radek był ojcem

chrzestnym. Nie miał ochoty z nią rozmawiać. Jutro zapuka do jej drzwi, da Pawełkowi prezent mikołajkowy, a potem zniknie, by pojawić się na Gwiazdkę i na urodziny chłopca.

– Nie odbierzesz? – spytał Tomek.

– Nie, to Baśka, pewnie znów będzie trula o ojcu – odparł Radek, czując jednak wzburzenie.

Telefon wreszcie umilkł, Tomek ponownie wbil wzrok w ekran laptopa, a Radek westchnął głęboko. Jego ostatnia rozmowa z siostrą zakończyła się kłótnią. Barbara miała do niego pretensje, że nie odwiedza ojca. A on już nie miał siły jej tłumaczyć, że te odwiedziny za dużo go kosztują i za bardzo bołą. Jego relacja z ojcem była trudna od zawsze, właściwie odkąd Radek sięgał pamięcią, i nic nie wskazywało na to, by miało się to zmienić. Od kilku lat próbował wreszcie żyć po swojemu i marzył jedynie o tym, żeby wszyscy dali mu święty spokój. Nie chciał, żeby ktoś mówił mu, jak ma żyć i co myśleć. Tylko tyle i aż tyle.

Kiedy odwrócił się plecami do biurka i zamierzał nalać sobie kawy, telefon znów zadzwonił. To nie było normalne. Barbara nigdy nie dzwoniła dwa razy, wiedziała, że jeśli brat nie odbiera, to albo nie chce rozmawiać, albo nie może i oddzwoni. Coś musiało się stać. Odebrał.

– Radek... Ojciec nie żyje – powiedziała siostra i się rozłączyła.

7 grudnia 2022 r., środa

Gerard Winter siedział w pustej kawiarni na Krakowskim Przedmieściu i sączył podwójne espresso. Lubił wstawać wcześniej rano i przychodzić tutaj na kawę tuż po otwarciu, kiedy panowały jeszcze cisza i spokój. Gdy

przy sąsiednich stolikach nikogo jeszcze nie było, mógł się skupić na swoich sprawach i zebrać myśli. Tego dnia potrzebował ciszy i spokoju bardziej niż kiedykolwiek. To dziś miał zadzwonić do posła Kafarskiego i uzyskać odpowiedź na pytanie, co postanowiło w jego sprawie kierownictwo partii. Wiedział, dlaczego się wahają, nie był głupi ani naiwny. Jednocześnie miał pewność, że właśnie teraz jest czas na to, aby wszedł do polityki i zrobił karierę.

Wziął do ręki smartfon i wyszukał potrzebny mu numer. Długo trzymał aparat przy uchu i słuchał wkurzającej melodyjki, którą polityk miał ustawioną w komórce. Nie odebrał. Gerard westchnął, zacisnął usta i ściągnął brwi. Może poseł nie mógł odebrać, a może nie odebrał celowo. Ta druga myśl go zirytowała. Nie lubił być ignorowany, a ponadto cierpliwość nie była jego mocną stroną.

Postanowił odczekać pięć minut i spróbować jeszcze raz. Zerknął w stronę lady z ciastami, za którą stała młoda dziewczyna. Ładna była. Gdyby tylko chciał, mógłby ją poderwać. Od kilku lat jednak nie uwodził już tak młodych lasek. Dobrze pamiętał tamten poranek, kiedy obudził się obok dwudziestokilkuletniej ślicznotki i po krótkiej wymianie zdań stwierdził, że przepaść pokoleniowa pomiędzy nimi jest już zbyt duża.

Spojrzał na swoje odbicie w szybie. Zobaczył mężczyznę po pięćdziesiątce o wyprostowanej szczupłej sylwetce, mocnych barkach i zadbanych dłoniach. Krótkie, gęste i modnie ostrzyżone szpakowate włosy wyglądały tak, jakby dopiero co wyszedł od fryzjera. Siwizna, której się nie wstydził, idealnie współgrała ze stalowym kolorem oczu. Casualowa marynarka włożona na czarny kaszmirowy golf marki Ralph Lauren oraz czarne spodnie o luźnym kroju z elastycznej bawełnianej popeliny dopełniały wizerunku,

który miał mówić: jestem pewnym siebie, przystojnym i eleganckim facetem, który bierze to, co chce i kiedy chce.

Spojrzał na zegarek. Minęło pięć minut, a polityk nie oddzwonił. Gerard niechętnie wybrał jego numer. Tym razem po trzech sygnałach usłyszał:

– Witam, panie Winter, właśnie miałem oddzwonić.

Akurat, pajacu, pomyślał Gerard.

– Witam pana posła. Jak zdrowie?

– A dziękuję, dużo lepiej niż ostatnio. W czym mogę pomóc?

– Przecież dobrze pan wie, umawialiśmy się na tę rozmowę. Obiecał pan dać mi odpowiedź.

– Ach tak, faktycznie. Wie pan, sprawa nie jest taka prosta. Rozmawiałem o panu z prezesem i ministrem Ko-tem, ale nasza odpowiedź jest na ten moment taka sama jak ostatnio.

– Co pan ma na myśli, mówiąc „na ten moment”?

– Mam na myśli najbliższą kampanię i najbliższe wybory parlamentarne. Uważamy, że gdyby ktoś pogrzebał w pana przeszłości, partii mogłoby to zaszkodzić. Panie Gerardzie, niech mi pan powie, po co panu w ogóle ta polityka? Po co pan chce w to wchodzić? Ma pan swoje życie, sferę, w której pan działa i doskonale sobie w niej radzi. Świadczy pan użyteczne usługi, z których nieraz skorzystaliśmy, i podejrzewam, że pewnie jeszcze nieraz skorzystamy. Sądzymy, że jest pan dokładnie tam, gdzie trzeba. A to całe bycie posłem, ministrem... Nie chce pan tego, niech mi pan wierzy.

Gerard zobaczył oczami wyobraźni, jak łapie tego kretyna za gardło, zaciska na nim dłonie i syczy mu prosto w twarz: „Nie mów mi, kurwa, czego chcę!”.

– Tak, rozumiem – odparł spokojnie. – Doskonale rozumiem. Czy panów odpowiedź jest ostateczna?

- Tak.
- Zatem dziękuję za czas i rozmowę.
- Panie Winter, nie chciałbym mieć w panu wroga. Nikt z nas by nie chciał.
- Wiem. Doskonale to wiem. Nasze drogi z pewnością jeszcze się skrzyżują. Muszę kończyć. Do widzenia.
- Do widzenia.

Gerard zacisnął dłoń w pięść i uderzył nią w kolano. Był wściekły, mimo że spodziewał się takiej odpowiedzi. Całym sobą czuł, że to jest jego czas. Liczył na wysoką pozycję na listach wyborczych, a potem na dobre stanowisko. Wiadomo, że nie od razu coś dużego, może na początek jakiś stółek wiceministra? Tyle razy wyświadczał im przysługi, tyle razy załatwiał to, czego nikt inny nie chciał się podjąć. Zarobili dzięki niemu sporo kasy, załatwili niejedną sprawę, a teraz mu mówią, że będzie źle wyglądał w szeregach ich partii, na ich listach? A niby nie ma wśród nich byłych esbeków, starych komuchów i szemranych kolesiów?

- Spokojnie - mruknął pod nosem. - Spokojnie, jeszcze będziecie skomleć i dacie mi wszystko, czego zażądam. Jeszcze nie powiedziałem ostatniego słowa. - Miał plan awaryjny. Zawsze taki miał. Nie był pierwszym lepszym facetem, który nie umie się odnaleźć w beznadziejnej sytuacji. On zawsze się odnajduje i zawsze dostaje to, czego chce.

Kiwnął głową w stronę kelnerki. Kiedy podeszła, zamówił kolejne espresso, po czym kliknął w wyszukiwarkę Google i wpisał trzy słowa: „hotel”, „Rysy”, „Zakopane”. Po sekundzie wyskoczyły wyniki. Już miał otworzyć stronę hotelu, gdy jego uwagę przykuł znajdujący się poniżej link odsyłający do artykułu. Dziennikarz informował w nim, że hotel Rysy pod Zakopanem został sprzedany prywatnemu inwestorowi, a ten z kolei zapowiada jego wyburzenie

tuż po Nowym Roku. Gerard przeczytał artykuł i szeroko się uśmiechnął. Los jednak mu dzisiaj sprzyjał. Kolejne piętnaście minut spędził na przeglądaniu stron blogerów i youtuberów. Po kwadransie miał gotowy plan.

Odłożył telefon i rozejrzał się po kawiarni. Kilka stolików było już zajętych. Przy jednym z nich siedziała mniej więcej czterdziestoletnia kobieta. Kruczoczarne włosy miała upięte w kok, a jej szyję otulała gustowna zielona apaszka. Czytała książkę, wydawało mu się, że rozpoznaje okładkę. Gapił się na czarnowłosą przez dobrą minutę, a gdy upewnił się, że nie widzi na jej palcu obrączki, zdjął z oparcia krzesła płaszcz i trzymając go w jednej ręce, a w drugiej filiżankę z kawą, podszedł do kobiety i dosiadł się bez pytania do jej stolika.

– Pani pozwoli? – zapytał retorycznie i szybko dodał: – Proszę się nie obawiać, nie jestem wariatem ani zboczeńcem. Zauważyłem okładkę pani książki i pomyślałem, że zapytam, czy zna pani inne książki tego autora i czy mogłaby mi pani coś polecić. Tę powieść skończyłem czytać dosłownie dwa dni temu i bardzo mi się podobała. I nie, niech się pani nie martwi, nie zdradzę, kto jest mordercą. – Widział w jej oczach zdziwienie i niepewność, wiedział jednak, że wzbudza zaufanie i sprawia wrażenie faceta inteligentnego, eleganckiego i ustawionego. Kobiety brały go najczęściej za profesora lub inżyniera.

– Zaskoczył mnie pan – odparła po chwili wahania. – Tak, znam kilka innych pozycji tego autora...

– Piękna i ocytana – zaryzykował komplement. – Ale gdzie moje maniery, nawet się nie przedstawiłem. Marek Redzisz, bardzo mi przyjemnie.

Kobieta uśmiechnęła się i wyciągnęła w jego stronę szczupłą dłoń.

– Joanna, miło mi.